



W imię etyki słowa publicznego

Zadaję sobie pytanie, czy trywializacja życia publicznego, a właściwie całej polskiej kultury w jej obiegu społecznym (może też jako zjawisko światowe), nie bierze się z nieograniczonej swobody w nadawaniu byle wypowiedzi jednostkowej statusu publicznego. Przez wieki było tak, że prawo do publikacji mają instytucje, reprezentujące pewien kierunek myślenia i traktujący go poważnie. Najpierw były to finansowane i firmowane przez kogoś druki, potem profesjonalne wydawnictwa, od siedemnastego wieku prasa, od dwudziestego radiofonia i telewizja, a w dobie internetu autoryzowane portale i blogi. Czy w imię odpowiedzialności za słowo nie należałoby powrócić do tej zasady?

Nie, nie godziłoby to w wolność wypowiedzi. Swobody momentalnego kontaktowania się jednostek ze wszystkimi, np. za pośrednictwem czatu i na tysiąc innych sposobów, nikt w dzisiejszej cywilizacji nie byłby w stanie powstrzymać. Ale prowadzi do demoralizacji utożsamianie mającego milionową publiczność internetu z Hyde Parkiem czy ścianą kłozetu. W każdej sytuacji powinien być ktoś, kto publiczną odpowiedzialność za kogoś anonimowego (dosłownie lub przez brak rozpoznawalności) bierze na siebie. A jeśli nie da się tej zasady wprowadzić, to anonimy trzeba traktować jako będące w koszu już od chwili ich powstania.

ANDRZEJ LAM

Uniwersytet Warszawski

Patriotyzm a nacjonalizm: pokorna prośba

W dniu 14 stycznia 2022 r. minęła 150. rocznica urodzin ks. dra Bolesława Domańskiego, patrona powstałego niemal 100 lat temu (27 sierpnia – 3 grudnia 1922 r.) Związku Polaków w Niemczech (spod znaku Rodła), jednoczącego autochtonów-Polaków z obszarów zaboru pruskiego i polskich emigrantów z innych terenów Niemiec z Macierzą.

Wspomniany Związek i inne polskie stowarzyszenia w latach międzywojennych prowadziły w Niemczech – w ramach obowiązującego wtedy prawa – ożywioną działalność kulturową (śpiewaczą, teatralną), oświatową, harcerską, sportową oraz spółdzielczo-gospodarczą i bankową. Do dzisiaj żyją w Polsce – na Górnym / Opolskim Śląsku, Dolnym Śląsku, Ziemi Międzyrzeckiej, Babimojszczyźnie, Krajnie / Ziemi Pilskiej i Ziemi Złotowskiej, Pomorzu Zachodnim, Kaszubach, Powiślu, Mazurach, Warmii oraz w innych częściach Polski – spadkobiercy tej dumnej i heroicznej tradycji. Mam zaszczyt być jednym z nich i nie wyrzeknę się tej tradycji, tym bardziej że w warstwie ideowej nie ustępuje ona tradycji I Brygady Piłsudskiego, Kresów [Wschodnich], Powstań Śląskich, Powstania Wielkopolskiego czy Powstania Warszawskiego.

Dlatego mam pokorną prośbę do prof. Andrzeja Białasa (PAUza Akademicka 579) i prof. Sergiusza Michalskiego (PAUza Akademicka 583), by walcząc z ideologiami, *nie wykluczali z kart historii* polskich



Rodło – autorzy idei: dr Jan Kaczmarek, ks. dr Bolesław Domański, Lubomir Kapczyński, Janina Kłopocka, Stefan Murek, dr Edmund Jan Osmańczyk, 1932; projekt grafiki: Janina Kłopocka, 1932.

Źródło: <https://www.porta-polonica.de/sites/default/files/assets/images/jk-foto-11.jpg>

autochtonów z Kresów Zachodnich i Północnych. W odniesieniu do tej grupy było i jest zasadne używać sloganu „Byliśmy – Jesteśmy – Będziemy”.

Co do kwestii dziejów i pochodzenia polskich autochtonów na wymienionych terenach, odsyłam do *krytycznej lektury* bogatej literatury z zakresu historii, etnografii i językoznawstwa (dialektologii polskiej) oraz pomocniczo interdyscyplinarnej problematyki etnogenezy Słowian, Germanów i Bałtów (ale jest tu jeszcze bardzo dużo niewiadomych).

MICHAŁ KOKOWSKI (z pochodzenia Krajniak i Warmiak)

Instytut Historii Nauki PAN

Dziękuję prof. Kokowskiemu za zwrócenie uwagi na rolę „autochtonów” w podtrzymaniu polskiej obecności na terenach przydzielonych Polsce po wojnie. Dodam, że deprecjonowanie tej roli, nie było intencją prof. Michalskiego, ani moją. Zajmowaliśmy się po prostu innym problemem.

ANDRZEJ BIAŁAS



Kraków

Partnerem czasopisma jest Miasto Kraków

Kopać, albo nie kopać?

Oto jest pytanie kluczowe dla współczesnej archeologii. A przecież popularna zbitka słów „topata archeologa” w oczach opinii publicznej definiuje sposób pracy badacza odległej przeszłości. Dla większości ludzi archeolog to ktoś, kto kopie w ziemi w nadziei wydobywania ukrytych pod jej powierzchnią atrakcyjnych znalezisk, które wypełniają później gabloty muzealne.

Wykopaliska to na ogół żmudna i często ciężka fizyczna praca, prowadzona jednak w specyficznej atmosferze odkrywania nieznanego, co prowokuje dreszczki emocji w oczekiwaniu na odsłonięcie czegoś, czego nikt wcześniej nie widział. Najczęściej nie są to odkrycia godne uwagi antykwariusza, lecz raczej niepozorne „resztki” pozostawione przez naszych poprzedników, ale zawarte w nich informacje mają nieocenioną wartość dla poznania życia przeszłych pokoleń.

Sam uważam badania wykopaliskowe za najciekawszy aspekt pracy archeologa. Coroczne wyjazdy w teren (w Polsce i za granicą), gdzie cierpliwie przeszukuje się ukryte pod ziemią warstwy, to przecież fascynująca alternatywa dla rutynowej pracy gabinetowej. Przez długie lata żyłem w przekonaniu, że prawdziwy archeolog po prostu musi kopać i cierpliwie rozwijać trudną umiejętność ręcznej eksploracji skomplikowanych sytuacji stratygraficznych, których rozwiązanie jest sztuką naprawdę trudną.

Skąd więc tytułowa wątpliwość?

Sytuacja się zmieniła pod wpływem ewolucji doktryny konserwatorskiej, która dzisiaj promuje przede wszystkim postawę ochronną w stosunku do tego, co jest skryte pod ziemią. Obecnie badacz świadomy swojej odpowiedzialności za dziedzictwo archeologiczne powinien powściągać swoją chęć zaspokojenia ciekawości naukowej przez rozkopywanie kolejnych stanowisk. Powinien powstrzymać się od niefrasobliwego wbijania w ziemię swojej „topaty”, gdziekolwiek spodziewa się znaleźć ślady aktywności naszych odległych przodków.

Tak radykalna zmiana podejścia do wykopalisk, które poddawane są coraz skrupulatniejszej kontroli służb konserwatorskich, może się wydawać perspektywicznie samobójcza dla nauki, której źródła informacji leżą jednak pod ziemią. To samoograniczenie ma jednak istotny wymiar etyczny związany z rosnącą świadomością odpowiedzialności za stan dziedzictwa archeologicznego, które jest jednak zasobem nieodtworzalnym, a przy tym wciąż (i coraz bardziej) zagrożonym przez rozmaite czynniki destrukcyjne – przyrodnicze i powodowane przez człowieka (np. rolnictwo, melioracja, budowa dróg, domów i zakładów przemysłowych).

Tak, jak do minimum ogranicza się dzisiaj eksperymenty na zwierzętach, tak też administracyjnie limituje się wydawanie pozwoleń na rozkopywanie stanowisk archeologicznych. Nawet bowiem najskrupulatniej prowadzone wykopaliska powodują jednak nieodwracalne zniszczenie pierwotnej formy oryginalnego świadectwa archeologicznego. Nawet najpraw-

niejszy eksplorator uwarstwień antropogenicznych nie jest w stanie dostrzec wszystkich detali kontekstu odsłanianych znalezisk. Nawet najnowocześniejsze techniki dokumentacyjne nie utrwalą wszystkiego, co odsłoniły wykopaliska.

Archeolog, jak saper, „myli się tylko raz”. Co prawda ewentualny błąd nie skutkuje zagrożeniem jego życia, ale powoduje nieodwracalne straty, bo źle przeprowadzonych badań terenowych nie da się już nigdy powtórzyć w tym samym miejscu. Wykop pozostały po wykopaliskach jest nieodwracalną pustką informacyjną. Po tym przebadanym, czyli faktycznie „zniszczonym” fragmencie dziedzictwa archeologicznego pozostaje tylko mniej lub bardziej dokładna dokumentacja (opisowa, pomiarowa, rysunkowa i fotograficzna) oraz próbki pobrane do analiz laboratoryjnych i wyluskane z niego przedmioty, których oryginalnego kontekstu nikt już nigdy nie obejrzy.

Archeolog terenowy pracuje więc, a w każdym razie powinien pracować, ze świadomością nierozwiązywalnego konfliktu między realizacją potrzeb naukowych a nieodwracalnie szkodliwymi skutkami swojego „zagładania” pod powierzchnię ziemi. Można to obrazowo porównać do sytuacji czytelnika zbioru unikatowych książek, którego lektura powoduje znikanie każdej z przeczytanych stron.

Tan dramatyczny dylemat prowokuje nawet u niektórych archeologów radykalne postulaty całkowitego wstrzymania wykopalisk! Nieustanny rozwój technik badawczych rokuje jednak nadzieję, że kiedyś wymyślimy sposób wielokrotnego oglądania tego, co jest ukryte pod ziemią, bez powodowania towarzyszących temu szkód. Świadomi tego archeolodzy czerpią z doświadczeń innych dyscyplin, opracowując wciąż nowe metody badań niedestrukcyjnych, opartych na technikach geofizycznych, geochemicznych, fotografii wielospektralnej, czy skanowania laserowego. Żadna z nich nie może jednak jeszcze zastąpić bezpośredniego oglądu oryginalnej formy materialnych źródeł informacji o odległej przeszłości.

A przecież postęp naszej wiedzy zależy od formułowania nowych pytań badawczych, na które można odpowiedzieć tylko przez poszukiwanie nowych informacji. Część z nich można pozyskać przez powtórne badanie już zgromadzonych kolekcji zabytków i dokumentacji ilustrującej konteksty ich znalezienia. Nie zastąpi to jednak wyjazdu w teren z nowym zasobem możliwości technicznych, które pozwolą uzyskać informacje, jakich wcześniej nie dostrzegano i nie poszukiwano.

Tytułowe pytanie musi więc na razie pozostać bez rozstrzygającej odpowiedzi. Odpowiedzialność za stan zachowania dziedzictwa archeologicznego nakazuje jednak, aby kopać mniej, tj. tylko w sytuacjach niezbędnej potrzeby badawczej lub konieczności zgromadzenia informacji przed ostatecznym zniszczeniem stanowisk archeologicznych wskutek zjawisk przyrodniczych lub planowanych prac inwestycyjnych.

PRZEMYSŁAW URBĄNCZYK

Instytut Archeologii i Etnologii PAN
Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego



WYDAWNICTWO PAU POLECA - [link](#)

PLATFORMA WYMIANY NAUKOWEJ PAU

Miłość bliźniego

Kryzys migracyjny na polsko-białoruskiej granicy wywołał zjawisko, jak się zdaje, głębsze i trwalsze (oby) niż polityczne, lokalne i międzynarodowe poczynania. Mieszkańcy tego obszaru na początku obserwowali usiłowania aktywistów organizacji pozarządowych, lekarzy i po prostu ludzi dobrej woli pragnących pomóc koczującemu w lesie przybyszom z dalekich krajów via Białoruś. Z mediów dowiadawali się, że Straż Graniczna, zgodnie ze swym przeznaczeniem, strzeże granicy, a poseł Sterczewski zachował się skandalicznie, biegnąc do migrantów z torbą zawierającą potrzebne im rzeczy. Pisowska telewizja pokazywała to zdarzenie do znudzenia, coraz dobitniej je potępiając.

Ogłoszenie stanu wyjątkowego udaremniło świadczenie pomocy humanitarnej przybyszom spoza jego strefy, a warunki w lesie stawały się coraz gorsze. Pomagać zaczęli mieszkańcy przygranicznych miejscowości. Od nich dowiadawali się o sytuacji dziennikarze, nie mogąc sami jej poznać.

Zastrzegając, że to doświadczenie pośrednie, chcę jednak podzielić się spostrzeżeniem, jak sadzę, istotnym. Otóż w relacjach mieszkańców np. Michałowa (ale nie tylko), skąd wywieziono poszukiwane później dzieci migrantów, obecne było tłumaczenie, dlaczego pomagają. Dlaczego przekraczają zalecenia pograniczników, aby trzymać się od przybyszów z daleka, nie ufają zapewnieniom, że to oni udzielają potrzebnej pomocy.

Ludzie żyjący (czasem od pokoleń) blisko granicy państwa znają i rozumieją wynikające z tego położenia rygory, doceniają zadania Straży Granicznej, w której służą ich krewni i przyjaciele. Zarazem od dzieciństwa wiedzą, że powinnością każdego człowieka, zwłaszcza chrześcijanina, a ci przeważają w tamtej okolicy, jest miłość bliźniego. Wiedzą, nawet jeśli nie mieli okazji praktykować tej cnoty i wtedy, gdy nie identyfikują się jako chrześcijanie.

Okazja objawiła się, jaskrawo i dramatycznie, w najbliższym sąsiedztwie. Mieszkańcy pogranicza polsko-białoruskiego, bez repetycji z Dekalogu, poszli do lasu pomagać, otworzyli drzwi swoich domów rodzinom z dziećmi, z którymi trzeba było porozumiewać się za pomocą gestów.

Indagowani przez dziennikarzy objaśniają to, co zdaje się oczywiste: Nie można patrzeć, jak ludzie umierają z zimna i głodu. Nie da się w takim momencie słuchać nakazów, a wszelkie przestrogi przed obcymi ulatują z głowy.

Sporadyczne początkowo gesty pomocy przekształciły się w coraz lepiej zorganizowaną akcję wielu osób (nazywają siebie partyzantką), a w pierwszych dniach grudnia ubiegłego roku przedstawiciele organizacji pozarządowych, przede wszystkim z Grupy Granica, oraz aktywiści z Podlasia i Lubelszczyzny sporządzili raport o szkodliwych działaniach polskiego rządu na granicy, przedstawiając sytuację od początku konfliktu. Podpisało go kilkadziesiąt osób, a Janina Ochojska rozesłała w środowisku unijnym.

Zapewne odzywające się głosy – z Polski i Europy – o tym, że nie wolno nikogo pozbawiać pomocy humanitarnej ani bez takiej pomocy zostawić, utwierdziły

mieszkańców w postawie czynnej miłości bliźniego, bez oglądania się na to, kim bliźni jest, i oby to była lekcja powszechniejsza. Pierwsze reakcje, owo tłumaczenie się z dobrych uczynków, wywołują jednak niepokój. Tłumaczyć ten niepokój może, w pewnym stopniu, fakt, że bohaterowie moich rozważań przeżywali dysonans między posłuszeństwem obywatelskim i przykazaniem miłości bliźniego. Do pierwszego przywykli, mieszkając przy granicy, w drugim ich wychowano. Ilu z nas wie na pewno, jak ten dysonans by rozwiązali?

Najogólniejszy sens doświadczenia, o którym tu piszę, to wątpliwości, właściwie ocena naszego stosunku do innych. Innych zatrważająco często uważamy za obcych, a to określenie nacechowane jest co najmniej rezerwą. Zatrważająco też łatwo daliśmy się – my, polskie społeczeństwo w dużej części – przestraszyć obcymi, widząc jako jedyną obronę zamknięcie granic, kiedy rozważano relokację migrujących do Europy przybyszów. Wystarczyły „nieznane choroby wywoływane przez egzotyczne pierwotniaki” i dopiero głodujące w lesie dzieci sprawiły, że tamten obraz zbladł.

Ufam, że przy tym wszystkim będziemy, żyjąc w zjednoczonej Europie, spotykać wielu obcokrajowców, gości innych – z przewagą serdecznej ciekawości nad obawami. Dlatego myślę, że warto mówić o tej stronie kryzysu granicznego, jaką jest poruszenie serc i obudzenie miłości bliźniego u najbliższych sąsiadów. Ma to zjawisko, jak sadzę, także szersze oddziaływanie, z jednej strony ośmielające, z drugiej może zawstydzające.

Okazało się, że miłość bliźniego nie da się zakazać, kiedy staje się dramatycznie niezbędna. W okolicznościach mniej ewidentnych bywa zapoznawana, a jej brak skwapliwie usprawiedliwiamy. Pierwszy raz jednak byliśmy świadkami tłumaczenia się z miłości bliźniego, wcześniej, na pewno jeszcze w moim pokoleniu, tłumaczono się z braku miłości, z obojętności wobec potrzebujących czegokolwiek bliźnich. I niełatwo było znaleźć na ten niedostatek argumenty.

Mimo optymizmu, jakim napawa przypadek mieszkańców pogranicza, troska o nasz stosunek do innych pozostaje aktualnym zadaniem. Powtórzę: będąc obywatelami UE (w co ufam), będziemy przeżywać różnorodne migracje i sami przemierzać terytoria innych państw. Musimy się wyzbyć przeszkadzającej w tym alternatywy: swój – obcy, co wcale nie oznacza braku dbałości o ojczyzną integralność ani utraty kulturowej swoistości. Przeciwnie, w spotykaniu (nie konfrontacji) są okazje do pokazania, co swojskie, oryginalne, do pochwalenia się jakimś elementem rodzimości i w zamian, poznania odmiennego.

Powtarzam banały, ale nieraz – zaskakująco – okazuje się, że ulegamy natarczywym wmówieniom przesłaniającym prawdziwy stan rzeczy.

Miłość bliźniego nie może kolidować z dobrem ojczyzny i w rzeczywistości to się raczej nie zdarza. Później takiej sytuacji trzeba rewidować i odslaniać, a to, za czym pójdziemy, zależy od sumienia. Tyle, że sumienie, jak to zauważył św. Jan Paweł II, może ulec zepsuciu. Trzeba je stale konfrontować z najbardziej elementarnymi zasadami etycznymi. Wtedy miłość bliźniego nie budzi wątpliwości i nie jest trudna.

MAGDALENA BAJER

Szczepionki zadziały!

W poniedziałek przed Świętami poczułem lekki ból gardła, a następnego dnia niewielkie podniesienie temperatury (37.3) i jakby ból mięśni. Normalnie nie wzbudziłoby to mojego zaniepokojenia, ale mamy przecież pandemię. Odwołałem więc moje uczestnictwo w najbliższym zebraniu, odwołałem planowaną wizytę znajomego i poprosiłem syna o zakupienie testu. Wieczorem przeprowadziłem test (nic trudnego, zwłaszcza dla ludzi, którzy miewają napady dłubania w nosie). I właśnie okazało się, że jest pozytywny, czyli że dopadł mnie wirus. Nie przejąłem się specjalnie, ponieważ jestem po trzech dawkach szczepionki, ale oczywiście postanowiłem zastosować kurację, której używam zawsze w przypadku wszelkich chorób: aspiryna, witamina C i dużo płynów. Nie zmniejszyło to specjalnie dolegliwości, ale ustabilizowało sytuację. Jedynym kłopotem było to, że Święta spędziłem zupełnie sam, bo nałożyłem sobie, rzecz jasna, dobrowolną kwarantannę. Ale rodzina dostarczyła mi (pod drzwi) tyle wiktuałów, że mogłem bez problemu, tradycyjnie, przejeść się świątecznymi przysmakami. Po trzech dniach temperatura powróciła do normy, pozostał mi tylko nieco chrapliwy głos. Po dziesięciu dniach powtórzyłem test. Był negatywny.

Oczywiście wiadomość o mojej chorobie szybko rozeszła się wśród bliskich, dostałem mnóstwo telefonów z pytaniami o zdrowie i życzeniami szybkiego powrotu do normalności, za które jestem ogromnie wdzięczny. Wszystkim powtarzałem, iż jestem kolejnym dowodem na to, że szczepionki działają tak, jak powinny. Na ogół przyjmowano to ze zrozumieniem. Ale reakcja jednej z kuzynek była inna. Powiedziała z przekąsem: no tak, ty wierzysz w naukę...

Rzeczywiście dziwne, a w dzisiejszych czasach wręcz niestychane: ja naprawdę wierzę w naukę. Ktoś powie, że to nic dziwnego, w końcu jestem z tego środowiska, trudno kłaść własne gniazdo. Ale to nie takie proste. Wiem przecież, że nie wszyscy fizycy osiągnęli odpowiedni poziom, znam nawet notorycznych głupców. Wiem, że zdarzają się pomyłki, a nawet (bardzo rzadko, na szczęście) oszustwa w badaniach, a coś dopiero w dziedzinie tak skomplikowanej jak medycyna. Wiem, że uczeni bywają nieodpowiedzialni. To wszystko prawda. Ale wiem też, że cały system nauki jest tak skonstruowany, że błędy są poprawiane, oszustwa wykrywane i tępiące, a wyniki wielokrotnie sprawdzane przez konkurujące ze sobą zespoły. Obserwowałem to wielokrotnie i myślę, że nic nie wskazuje na to, żeby teraz było inaczej.

Podobno jednak, jak wskazują badania i stosunek do szczepień, tylko połowa Polaków podziela moje przekonanie, że nauka dostarcza wiadomości sprawdzonych i wiarygodnych. Druga połowa woli wierzyć w łatwo dostępne informacje z mediów społecznościowych, gdzie nie ma żadnej „kontrolki jakości”, a prawda i fałsz są niemal idealnie wymieszane.

Bez specjalnej satysfakcji wspominam, że przewidywałem już jakiś czas temu taki rozwój wypadków i dawałem temu nie-

jednokrotnie wyraz, również na tych łamach (ostatnio: PAUza 431). Widziałem dość jasno, że jedną z przyczyn (nie wiem czy najważniejszą), jest niefrasobliwość uczonych w kreowaniu daleko idących obietnic jakie wynikają z ich mniej lub bardziej spektakularnych odkryć. Obietnic w dodatku rozdmuchiwanych ochoczo przez dziennikarzy. Stałe wmawianie ludziom, że nauka potrafi rozwiązać wszystkie stojące przez nimi problemy, musiało w końcu doprowadzić do zniechęcenia i do kryzysu wiary w te obietnice. Dziś widzimy jak ten nastrój wpłynął na odbiór nawet tak kolosalnego sukcesu nauki, jakim niewątpliwie było błyskawiczne opracowanie skutecznych szczepionek. Połowa z nas albo kwestionuje ich skuteczność, albo nawet uważa szczepionki za szkodliwe. I to pomimo milionów przykładów ich pozytywnego działania.

Naturalnie nie jest to tylko sprawa szczepionek. I nie tylko sprawa Polski. Głębokie podziały, w bardzo wielu sprawach, pojawiły się wszędzie.

Weszliśmy ewidentnie w okres sceptycyzmu i rewizjonizmu, gdy kwestionowane są wszystkie dotychczas uświęcone zasady, a „publiczność” woli niesprawdzone pogłoski od rzetelnych badań. To też nic nowego. Takie sytuacje już się w historii zdarzały i czasem nawet prowadziły do pozytywnych zmian. Niestety, zwykle było to poprzedzone silnymi perturbacjami społecznymi.

Obawiam się, że niewiele jesteśmy w stanie na to poradzić. Pisałem już o tym niedawno (PAUza 566), ubolewając nad bezradnością w dyskusji z przeciwnikami szczepień. To też nic nowego. Filozofowie wiedzą od dawna, że sensowna argumentacja możliwa jest tylko, jeżeli ustali się wcześniej podstawowe zasady dyskusji. Natomiast zupełnie niemożliwe jest porozumienie między ludźmi, którzy te same fakty widzą i interpretują zupełnie inaczej. Pomyślałem, że świetnie ilustruje to anegdota zaczerpnięta ze znakomitej książki*, która opowiada całkiem poważną filozofię za pomocą żartów.

Pewna wierząca kobieta wychodzi codziennie rano przed dom i woła: – Chwała Panu! Obok wychodzi przed sąsiedni dom ateista i krzyczy: – Nie ma żadnego Boga! Ciągnie się to tygodniami. Kobieta woła „Chwała Panu!”, a ateista „Nie ma żadnego Boga!”.

Czas mija. Kobieta wpada w tarapaty finansowe i nie może kupić sobie jedzenia. Wychodzi więc przed dom i prosi Boga o jakieś produkty, a następnie woła „Chwała Panu!”

Następnego ranka znajduje przez domem potrzebne jej produkty. Oczywiście natychmiast wznosi ręce do nieba i woła „Chwała Panu!”.

W tym momencie zza krzaka wyskakuje ateista i mówi: „Ha! To ja zrobiłem te zakupy. Nie ma żadnego Boga!”

Kobieta patrzy na niego z uśmiechem i woła: „Chwała Ci Panie! Nie tylko dałeś mi te produkty, ale jeszcze zmusiłeś szatana, żeby za nie zapłacił.”

I jak tu rozstrzygnąć, pytam, kto z nich ma rację?

ANDRZEJ BIAŁAS

* Thomas. Cathcart i Daniel Klein, *Przychodzi Platon do doktora*; przekład: Krzysztof Puławski, Wyd. Media Rodzina, Poznań 2009.